

Nieznani bohaterowie-lotnicy

odbywają ryzykowne loty nienotowane w złotej księdze lotnictwa

Obok rekordowców sportu powietrznego, o których wie cały świat, istnieją liczni a nieznani bohaterowie lotnicy, którzy odbywają niesłychanie ryzykowne loty, nienotowane w złotej księdze lotnictwa. Są to piloci obsługujący linie pocztowe w egzotycznych

krajach. Powietrzne wycieczki pilota, który leci ponad pustynią australijską do Port Darwin — są wyczynami zasługującym na uwiecznienie w owej księdze. Cóż kiedy mówiąc biurokratycznym żargonem „nie podpadają” one pod kategorię sportowych rekor-

dów. Gringoire zamieścił ciekawy opis takiego przelotu, dokonanego przez utalentowanego pisarza Zischka.

Opowiada on swoje wrażenia z podróży samolotem Curtissa do Port Darwin.

— Linia telegraficzna biegnąca z Adelaidy do Port Darwin, przecina całą Australję, a więc łańcuch wzgórz Mac Donella, piaszczyście i kamieniste stopy północnej Australji i niezmiernie pastwiska na których wypasają się stada owiec. Pasterze i soferzy oraz lotnicy kierują się według tej linii, gdyż w razie katastrofy lub braku wody, jest sposób na wezwanie pomocy — przecina się druty. Po jakimś czasie przybędzie niechybnie oddział ratowniczy z zapasem świeżej wody. Samoloty lecące nad Australją mają niełatwe zadanie, jako że na północy tworzą się fantastyczne miraży. Nieraz przysięgałbym, że widzę gęsty las, a to tylko zniekształcone przez miraż słupy telegraficzne zbity się w gromadę i oszukują wędrowca, albo też widzę słupy telegraficzne tam gdzie ich wcale nie ma.

— Musieliśmy w pewnej chwili lądować, gdyż z rezerwuaru wyciekła oliwa. Traf zrzadził, że samolot osiadł w środku wielkiego obozu szczepu Aruntasów. Odbywa się właśnie rytualna uroczystość, zwana „corrobore”. Samolot osiadł na miękkim gliniastym gruncie t. zw. clay pan, obfitującym w podskórny wodę. Gdy wokoło panuje susza — można w tych „clay pan” wygrzebać trochę wilgotnej ziemi, z której wyciska się wodę. Wszędzie, w każdym zagłębieniu i wśród cieni wi dać wielkie ropuchy, pomarańczowej barwy. Podobne są do balonów. W okresie deszczów nabrały wody i odbywają nieraz kilku miesięczną drzemkę, w okresie suszy. Rezerwuar wystarcza im na rok. Tubylicy lasi są na owe ropuchy, bo wyciskają z nich, niby z gumowych piłek czysty płyn i gaszą nim pragnienie. Australijskie ropuchy niejednemu podróżnemu uratowały życie.

— Do naszego samolotu zbliżają się dwie wiedźmy, czarne i nagie, natarte węglem drzewnym i ochrą. Proszą o zapalki i tytoń. Okazuje się, że w obozie odbywa się wesele czternastoletniej dziewczyny. Panna młoda ustrojona jest w peckę szersci kangurzej i futra oposów, a na głowie ma wieńiec. W rękę trzyma tustą ropuchę. Na ognisku piecze się ca-

ły kangur, z którego nie zdjęto skóry. Przed wieczerzą składa się kawał mięsa na ofiarę totemowi, zwanemu „wielkim duchem kangura”. Aruntasowie nie wierzą aby człowiek był ojcem dziecka — twierdzą oni, że dzieci rodzą się z ducha i należą do niego. Bóstwo w sąsiedztwie którego kobieta porazi pierwszy poczuła, że jest w ciąży — staje się ojcem dziecka. Mąż jest tylko „opiekunem” kobiety.

Plemię Aruntas wie gdzie egzystencję ludzi epoki kamiennej. W obozach sypia się pokotem, pod przykryciem z niewyprawnych skór. Ze zwierząt domowych znany jest tylko pies. Są jeszcze w Australji takie plemiona, które nie odkryły ognia.

— W Alice Springs zabieramy pocztę, — pisze Zischka. — Jest to jedyny w środkowym stepie Australji posterunek telegraficzny. Na przestrzeni blisko trzystu kilometrów kwadratowych mieszka tylko dwóch białych, „Miasta” tujejsze składają się z dwóch domów — poczyty i zajazdu parterowego z jedną izbą, która stała się pustkami. Popasają tutaj przez chwilę piloci pocztowych samolotów, czasami zabłąka się inżynier, poszukujący źródeł nafty, albo pastuch. Woda znajduje się głęboko pod ziemią, ale nie wszędzie wywiercono studnie artezyjskie — toteż olbrzymie przestrzenie kraju pozostały nagimi stepami.

Pomimo, że samoloty często przelatują nad Alice Springs i Port - Darwin — stosunki panują tutaj mniej więcej takie same, jak przed czterema tysiącami lat. Symbolem władzy jest kość ludzka (przedmioty) owinięta w szmaty. Gdy wódz wskaże na kogoś tem osobiście berłem — skazuje go na śmierć, albo na wygnanie. Wprawdzie w Port Darwin spotkać można w kinie odzianych po europejsku dzikusów, ale zachowują się oni — jak dzikusy. Gdy im się film nie podoba rzucają boomangami w ekran i palcami z twardego drzewa, któremi mężowie ćwiczą żony.

„Dzikusy australijskie, mają swoją etykę — nie znoszą filmów erotycznych. Na widok nagich kobiet i scen miłosnych złością się i manifestują oburzenie, niszcząc ekran. Australia jest państwem kontrastów. Obok cywilizowanych miast w rodzaju Adelaidy czy Melbourne przetrwały tam osady pamiętające przedhistoryczne czasy, zamieszkałe przez tubylców niewiele się różniących od małp.

A propos

Kupiec warszawski

— Wszystko pan tak chwali — rzekłem do jednego z Polaków zagranicznych — niech mi pan więc teraz powie, co się panu tu nie podoba?

— Odrazu powiem, że kupey. To jest jakiś dziwny naród, ci kupey warszawscy. Narzekają na kryzys, na brak klienteli, a robią wszystko, aby ludzi od siebie odstraszyć. Zjeżdżam pół świata (mój rozmówca mieszka w Stanach Zjednoczonych), ale nigdzie nie spotkałem takich metod kupieckich, jak tu. Po pierwsze, co mnie wprost zdumiało, to kwestia wystaw. Wystawę tu uważa się za jakieś skranie boskie, jakieś nalmu necessarium, czy co, bo na pilnych można policzyć wystawy, urządzone przez fachowców. Reszta — zarzuca okno stosem towaru, od którego widoku aż oczy bolą, chce się zawyć i uciekać. A powtóre, czego nigdzie nie widziałem, to zamykania wystaw na noc. Na całym świecie wystawa oświetlona jest do rana, wyzyskuje się ten środek propagandy do maximum, a tu odwrócić. Przecież to marnotrawstwo. Taki sklep w śródmieściu musi kosztować djabelskie sumy, a przecież całą jego zaletą jest wystawa.

— Druga rzecz, to niegrzeczność. Zauważyłem tu wiele sprawunków, byłem chyba w jakich trzdziestu interesach, a może w trzech powitano mnie, gdy wszedłem, wszędzie traktowano, jak z laski i wyraźnie chciało się mnie jaknajprędzej pozbyć. Dziwna, bardzo dziwna rzecz. I nigdzie na świecie niespotykana.

— Trzecia rzecz, to ceny. Tu się widzi wprost fantastyczne różnice w cenach. Ta sama rzecz (a znam się na tem, bo sam jestem kupcem), kosztuje w jednym interesie dwa złote, a w drugim pięć. Jak to może być? Człowiek odrazu robi się nieufny, bo widzi, że ten kupiec weale nie kalkuluje, tylko trzyma się zasady: złapać, co można. Cena wedle wyglądu klienta, czy punktu miasta, czy, bo ja wiem wreszcie?

— Czwartą, to rzecz, której nie umiem nazwać. W Ameryce, widzi pan starają się na wszelki sposób klientowi dogodzić. Naprzykład w

każdym sklepie z papierem, czy w aptece, czy drogerji, czy tym podobnym interesie może pan spełnić swoje wieczne pióro atramentem, czy też zapalniczkę benzyną. Gratis. Jeszcze panu dziękują, że pan był łaskaw wstąpić. W innych interesach może pan dostać gratis znaczek pocztowy. Kupey wprost przesadzają się w gestach. Tu byłem w jednym pierwszorzędnym składzie papieru, na Nowym Świecie koło Wareckiej, a wigo w centrum. Chciałem kupić kopertę, bo miałem właśnie do wysłania list. Do swoich. Pokazują mi różne koperty, ale ponieważ chciałem pokazać swoim, że w Polsce wyrabiają dobry papier, wybieram najłepszą.

— Ile jestem winien?

— Pojedynczych kopert nie sprzedajemy. Ten gatunek sprzedajemy tylko w całych paczkach. Na sztuki mogą być tylko te.

I sprzedawca pokazuje mi koperty tandetne. Mówię panu, że to jest metoda, która w prostym kierunku prowadzi do plajty. Do odstraszenia sobie klienta i do bankructwa. Gdybym stale mieszkał w Warszawie, nigdy moja noga nie powstałaby w tym składzie. Jakto? To ja nie mogę kupić tego, co chce, tylko muszę brać to, co w sklepie mają? Fantastyczna rzecz. Amerykański kupiec rozpiecztuje panu nie paczkę z kopertami, ale puszkę konserw, jeżeli pan chce spróbować. Widzi pan, rzecz w tem, że nigdy nie zarobi tam, gdzie można, ten kupiec, który nie umie stracić tam gdzie potrzeba. Ja mam interes z konfekcją damską i często mi się zdarza, że klientka przychodzi do mnie z reklamacją, że to czy tamto nie podobą się jej. Widzę odrazu, że tę sztukę konfekcji nosiła jeden, albo dwa dni. Że to jest już zamele. Myśli pan, że okiem mrugnę? Rozpływam się w uprzejmościach, bardzo proszę, żeby sobie wybrała coś innego, cięsz się, że mogę się jej przysłużyć. A skutek? Że mam wierną do śmierci klientkę. W ciągu dwu miesięcy odbiję sobie tamtą stratę.

— Umieć stracić — to jedna z najmniejszych powodzenia. Very.

Muzeum czerwonoskórych w Ameryce

Pierwszorzędną osobliwość kulturalno - historyczną jest Muzeum Czerwonej Rasy, które otwarte zostało w pobliżu miejscowości Jamestown, w stanie Virginia, na terenie rezerwatu Indian Pomunkey, a które jest dziełem

dr. Edwarda Mac Lean-Rolfe. Muzeum to usiłuje utrwać romantykę wymierającej rasy czerwonej.

W jednej z sal wystawione są stroje, broń, przybory życia codziennego sławnych wojowników indiańskich. Widać tam olbrzymi łuk, przepysny kołczan i pierzaste strzały wielkiego wodza Długiego Oszecep, jego artystycznie przyozdobiony tomahawk (sic - kórka) i jego czerwona „fajka pokoju”. Wisi tam także strzelba i potężny na gesto karbowany trzonie osadzony tomahawk wodza „Siedzący Bawół”. Na ścianach wiszą wyroby Indianek: przepięknie malowana odzież ze skóry, perłami naszywane obuwie, oraz misternie plecione maty i ko szyczki. Są tam także liczne namoty indiańskie i trofea łowieckie: słuchające z ozdoby głowy ławców, niedźwiedzi i łosi. Jest tam także blokhaus jednego z pierwszych osadników amerykańskich Daniela Boone, otworzonej wiernie w wszystkich swych szczegółach. Jego dwa i pół metra długa strzelba żalozyciel muzeum dr. Edward MacLean-Rolfe.

Obok licznych wypchanych okazów fauny amerykańskiej znajdujących się tam obrazy sławnych wodzów indiańskich, m. in. wodza „Siedzący Bawół” i książeczki Pocohontas, od której pochodzi założył muzeum dr. Edward MacLean-Rolfe.

(C. d. n.).

Jan Waśniewski

OGNIE W PIRYTACH

POWIEŚĆ

— Będziemy panu zawiadowcy niezmiernie wdzięczni. — A może wyrazi się to w jeszcze silniejszej skrupulatności?

— Czyż pan inżynier ma mi cokolwiek do zarzucenia?... — Chociażby ten chodnik... — Drobne niedopatrzanie... — Ale na przyszłość i to zniknie! — Postaram się... — Dziękuję! — Ależ, panie inżynierze!

Robiło wrażenie, że rozmawiający chcą się prześcignąć wzajemnie w elegancji i ukłonach. Gdy się żegnali, każdy był bardzo zadowolony z siebie, a żywił nieco pogardę do drugiego. Odcienie tej pogardy wyrażały zdania, tkwiące w ich mózgach, kiedy podawali sobie dłonie.

„Współ się błazen” — myślał Faleński.

„Chciał mnie podejść, dureń!” — odwdzięczał mu się Targowski.

Po wyjściu sztygara, Faleński skrzywił się z odrazą. — Toż to najzwyklejszy kryminalny czyn! — pomyślał. — Ale jak ja złapię na czemś podobnym, jak ja go złapię kiedy!...

Zęby ścisnęły się mimowoli, i biała nienawiść otoczyła swym kręgiem wszystkich ludzi „Heraklesa”. Uj-

rzał ich naraz zgrupowanych razem, z brodatym Walickim na czele, związanych przeciw niemu węzłem upartego sprzeciwu. Otrząsnął się: oprócz nienawiści czuł do nich pogardę i to go ratowało.

— Zdaje się, że pan miał słusność, panie Gładysz! Dozorca skinał głowę w posępnym milczeniu. — Ale ja sobie dam z nimi radę... Ja roztrząskam ten ich upór, ugniotę na glinę... I liczę na pana, panie Gładysz.

— Tak jest. — Teraz we dwóch musimy nie tylko prowadzić kopalnię, ale... śledzić posunięcia urzędników... Do tego doszło! Niesłychane!... — Kto to upilnuje?... — Nie wolno panu tak mówić... Musimy! Faleński podszedł do biurka. Dozorca skłonił się: — Szczęść Boże, panu zawiadowcy! — Szczęść Boże!

Za progiem biura przywitał dozorcy cichy przedmrok kwietniowy... Ciepłe wiatry już dawno osuszyły pierwsze wiosenne roztoły, a górzyste pola chwiały się sytną zielenią kielkujących zbóż. Gładysz posuwał się samotnie ścieżką, wijącą się wśród pagórków, hałd i rozdółów. Lekki przymrozek wieczorem pokrywał cieniutką skorupą lodu pozostałe tu i ówdzie zastoiny wody. Na ścieżce lodowe szklivo przylegało gdzieś tam do ziemi i łamało się z chrzęstem pod stopami dozorcy. Gładysz szedł zamyślony, a jego wyobraźnia snuła, jak zwykle, posępne zadumy.

Niedawno — jeszcze zimą — zdawało się, że los nachylił ku niemu twarz uśmiechniętą i łaskawą. Przychylności tę umiał ocenić i godnie ją przyjąć: pracował za trzech, przemierzając samotne chodniki kopalni, wytężał swe siły fizyczne i umysłowe, szarpał swoje zdolności...

I co z tego?

Wyrósł wokół niego krąg niechęci i zaciska się mocnym pierścieniem, aby go obezwładnić... Posuwa się, jak niewód — oskrzydła, zacieśnia, a on — coraz mocniej osaczony — poczyną się miotać, tracić siły i wiarę w powodzenie.

Wszyscy przeciw niemu.

— Panowie, inteligencja! — myśli i wzdyma się w nim głucha niechęć pracownika fizycznego do urzędników, podsycana być może atawistyczną, odwieczną nieufnością chłopca do szlachcica.

Panowie! Już ich to boli, że w zamknięte ich koło wtargnął prosty chłom, którym zawsze pomiatali...

Oczy Gładysza luskają ponuro: przypomniał sobie opowiadania dziadka, przysięgłego górnika rządowego, który na tymże „Herkulesie” brał baty, jak pańszczyźniak, i którego gówno do roboty, niby dezertera.

Jak się z nim samym obchodzono, kto go w pełni uszanował? Stary Walicki swą łaską pańską uczynił go dozorcą, ale już jego rodzony syn, Andrzej...

Myśli Gładysza cofają się na chwilę przed pogrążeniem się w bolesną sprawę, ale wnet brną tam i nurzają się w niej z jakimś żalosnym zadowoleniem.

Pokrzywdził Maryskę jeszcze jako pannę, bo mu się tak spodobało... Potem wyjechał i zapomniat...

Gładysz łagodzi ostrość sądu refleksją: „No, to się zdarza zawsze i wszędzie: od tego on był chłopak, a ona piękna dziewczyna!”

Refleksja ta jednak miała być tylko odskocznią do tem silniejszego ataku:

„Ale jak tylko zobaczył, że jest moją żoną, odrazu ją napadł... Nie uszanował księdza, ni ołtarza!”

Najbolśniejsze przeżycia spadają teraz na Gładysza całem stadem...

REDAKCJA: Warszawa, Nowy Świat 22. Telefony 6.66.99 (sekretariat, dodatkowy red. naczelny); 6.66.62 (dział polityczny i ekonomiczny); 6.66.69 (dział miejski i liter.-art.); 6.66.59 (międzynarodowy). Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt w godz. 11—12.

ADMINISTRACJA: Warszawa, 7goda 1. Telefony: Administracja i Zarząd 691.64. Prenumerata 691.66. Wydział ogłoszeń 691.56. Skrzynka pocztowa 745. Adres telegraficzny — A B C Warszawa. Konto P. K. O. Nr. 13550.

PRZEDSTAWICIELSTWA: Kalisz, Aleja Józefiny 11, tel. 209; Piotrków Trybunalski, Słowackiego 9, tel. 59; Włocławek, Cyganka 26, tel. 136.

PRENUMERATA: miejscowa (z odnośnieniem do domu) i zamiejscowa — zł. 4.50 miesięcznie. Konto czekowe P. K. O. Nr. 13550.

Ceny ogłoszeń: za miejsce wysokości 1 milimetra przez szerokość jednej szpalaty (na wszystkich stronach po 6 szpalat): na 1-iej stronie — 1 zł. w tekście (wśród artykułów) — 70 gr., w reklamach (wśród ogłoszeń) — 50 gr., na ostatniej stronie — 60 gr. Notatki reklamowe — 1 zł. Komunikaty (specjalne) — 1.50 zł., lekarskie — 30 gr. Nekrologia po 30 gr. Drobne po 20 gr. za wyraz, duże litery w ogłoszeniach „drobnych” liczy się za oddzielne wyraża a tusty druk — podwójnie. Notatki reklamowe oznacza się cyfrą (N.) a komunikaty specjalne cyfrą (Kom.). Za terminy druku ogłoszeń Administracja nie odpowiada.

Wydział ogłoszeń: Zgoda 1, tel. 691.56 — biuro czynne od godz. 9 rano do 6 wiecz.

Kierownik: Tadeusz Ucieczyński